

# Marian Filar

---

## Wyprawa na Południe

---

Palestra 46/5-6(533-534), 75-77

---

2002

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



## CO PISZCZY W PRAWIE

*Marian Filar*

### WYPRAWA NA POŁUDNIE

Staję się czymś na kształt kodeksowego domokrażcy. Niedawno uczestniczyłem w dyskusji nad tzw. prezydenckim projektem nowelizacji (rekodyfikacji?) prawa karnego organizowanym przez Instytut Prawa Karnego Uniwersytetu Warszawskiego (o czym informowałem Państwa w poprzednim felietonie), a przed paroma dniami wróciłem z identycznej imprezy organizowanej tym razem przez prof. Zolla na Uniwersytecie Jagiellońskim. I choć droga z Torunia do Krakowa dłuższa i bardziej wyczerpująca niż droga do Warszawy, nie żałuję ani trochę mojej wyprawy na południe. I nie chodzi bynajmniej o to, by przy pięknej wiosennej pogodzie odwiedzić miasto mojej młodości, choć to też miłe. Krakowska dyskusja miała nieco odmienną poetykę niż warszawska. Jeśli ta stołeczna odbywała się na nieco szerszym forum, przy udziale publiczności i

mediów, to w Krakowie toczyła się w zamkniętym gronie kilkunastu osób, wśród których znajdowali się wybitni przedstawiciele praktyki oraz karnomaterialnej profesury (oczywiście w tym drugim przypadku określenia „wybitny” nie odnoszę do mojej skromnej osoby, byłby to bowiem szczyt nieuzasadnionego zarozumialstwa). Muszę się Państwu przyznać, iż dla teoretyka prawa, który na co dzień zaangażowany jest w różnorodne publicystyczno-medialnopolityczne spory o kształt kodeksowej nowelizacji, w których niestety często, bardzo często populistyczna demagogia krzyżuje się ze zwykłą niewiedzą, arogancją i ignoracją, możliwość kilkugodzinnej dyskusji z ludźmi, którzy dokładnie wiedzą, o czym mówią i co mówią, to wielka intelektualna frajda, i choćby dla tego samego warto było tłuc się kilkaset kilometrów po dziurach i

nierównościach „polskich dróg”, na których (czyżby wpływ wiosny) coraz więcej samochodowych szaleńców.

O przebiegu dyskusji tym razem nie będę Państwa szczegółowo informował, bo to nie temat na felieton. Dziś chciałbym o czymś innym, bardziej ogólnym. Na ogół panuje zgoda co do tego, iż poszczególne rozwiązania projektu prezydenckiego nie zawsze wydają się być lepsze od aktualnych regulacji kodeksowych, zaś ich jedyną zaletą zdaje się być często to, iż stanowią one rodzaj tamy dla rozwiązań jeszcze gorszych, których widma straszą z różnych zakamarków na Wiejskiej. Pojawia się też teza, która w największym skrócie brzmi tak: „nie rozdierajmy szat nad dogmatyczną niedoskonałością a może i błędnością poszczególnych propozycji nowelizacyjnych, bo rozsądna i kompetentna praktyka i tak jakoś sobie z tym poradzi w drodze zdroworozsądkowej i spełniającej wymogi realiów polityki kryminalnej praktyki polskich sądów”. Przez całą powrotną drogę rozmyślałem o tej tezie. Dla kogo powinny być kodeksy? Kto powinien je tworzyć? Co powinny one zawierać? Nie ulega wątpliwości, że karne kodeksy nie są po to, by swą wewnętrzną formalną doskonałością teoretyczną satysfakcjonować intelektualnie kilkudziesięcioosobowe grono profesorów prawa karnego. Nie byłoby też dobrze, gdyby tworzenie kodeksów powierzyć wyłącznie temu właśnie gronu. Kodeksy karne są (niestety?) aktami na wskroś politycznymi w tym sensie, że funkcjonować mają nie w laboratoryjno-unwersyteckiej doskona-

łej próżni, lecz w konkretnych warunkach konkretnego realnego życia społecznego, gospodarczego, kulturowego i politycznego ze wszelkimi jego sprzecznościami interesów poszczególnych grup społecznych a nawet przy pewnym marginesie populizmu i deklaratywności.

Nie oznacza to oczywiście, że mają być one czymś na kształt instrukcji obsługi przestępczości pisanej na kolanie w sejmowych bufetach często z inspiracji klasycznie politycznej a nawet ciasno partyjnopolitycznej. Muszą być więc w pewnym sensie, przepraszam za pewną pompatyczność – kodeksami dla narodu i poprzez naród tworzonymi, nawet jeśli nie zawsze pozostaje to w pełnej zgodzie z profesorską kodeksową estetyką. Ale muszą też z całą pewnością służyć jednemu podstawowemu celowi – muszą stwarzać właściwy i „technologicznie” poprawny grunt dla racjonalnego uprawiania takiej polityki kryminalnej, która będzie najlepsza i najskuteczniejsza dla realizacji jej głównego celu – efektywnej kontroli nad przestępczością dla dobra i w interesie tego narodu. Polityki opartej o realia, a nie o mity i artykułowane czasem w dobrej, częściej w złej wierze „chciejstwo”. Nie można jednak roli kodeksu karnego sprowadzać do rangi efektywnego, ale pozbawionego większego znaczenia prawniczego gadżetu, z którym pod pachą wypada wejść na sądową salę, ale którego zawartością i tak nie ma się co za bardzo przejmować, bo mądre sądy i tak będą wiedziały, jak sprawę sprawiedliwie rozstrzygnąć. Przecież różne leninowskie

dekrety, które usiłowały zastąpić kodeksy karne zdrową wolą i poczuciem sprawiedliwości ludu pracującego mamy już za sobą. I skutki ich stosowania też na szczęście za sobą. Nie jest więc wszystko jedno, co będzie napisane w książeczkach, które sędziowie, proku-

ratorzy i obrońcy wnoszą na salę sądową. Nawet jeśli trzeba pogodzić się z tym, iż nie zawsze jest możliwe, by było w nich napisane to, co w zaciszu gabinetów i prawniczych, krajowych czy zagranicznych bibliotek wymarzyli sobie profesorowie prawa.